



## Mirosław Derecki

### BIAŁOSTOCKIE „HERKULESY”

Poszliśmy wiec do „Herkulesów”. Na ulicach już prawie pusto, a wieczór chłodny. W kawiarniach trochę, młodzieży. Prawdopodobnie była to właśnie owa nastoletnia „młodzież niczyja”, która jest problemem nie tylko dla Białegostoku i z którą nie bardzo wiadomo co począć. Problemem numer jeden są dla Białegostoku zawsze studenci i ich sprawy...

Toteż, gdy nie zidentyfikowana całkowicie młodzież degustowała w „Podlasiance” berbeluchę w cenie dwadzieścia parę złotych butelka, my, kilku dziennikarzy i studentów, dyskutowaliśmy na temat numer jeden: „białostoccy studenci a...”.

Weszliśmy na teren Akademii Medycznej. W pobliżu pałacu Branickich uczelnia wybudowała nowoczesne bloki dla swoich zakładów naukowych. W jednym z bloków mieści się studencki klub ZMS „Herkulesy”. X wziął z portierni klucz, a potem zeszliśmy po omacku do sutereny. Następnie X dość długo pstrykał nadpsutymi kontaktami, zanim udało mu się zapalić światło.

Wnętrze „Herkulesów” jest jak na dzisiejszą modę dość nietypowe. Główna sala niska, ale obszerne. Strop podpierają pokryte lustrami filary. Za płytką estradą biegnie rodzaj ciemnego pasażu ze stolikami i kanapkami. Na prawo od wejścia, oddzielony od reszty sali drewnianą kratą, barek z wysokimi stołkami. Ściany wyłożone ciemną boazerią. Klub budowano mniej więcej dziesięć lat temu, a więc z pałacowym rozmachem i na wysoki połysk. Wyszło z tego coś w rodzaju wysokogórskiej oberży ze schroniska w Karkonoszach, ale właśnie dlatego sala ma swój styl.

Usiedliśmy przy pustym barku. X, który nie jest co prawda kierownikiem, ale jednym z tak zwanych aktywistów klubowych, rozwodził się boleściwie nad upadkiem i ruiną ongiś reprezentacyjnego, największego klubu studentów białostockich.

- Przez wiele lat - opowiadał X - przychodziło tutaj mnóstwo młodych. „Herkulesy” stanowiły ośrodek studenckiego życia kulturalnego. Działy zespoły artystyczne, odbywały

się spotkania i odczyty, a w bufecie było piwo. Teraz upadek kompletny, „taaaka saaala” a nikt nawet nie zajrzy.

- Właściwie od miesiąca albo dwóch klub w ogóle nie prowadzi działalności - dorzucił jeden ze studentów. Ten sam, który w innym klubie z widoczną satysfakcją tłumaczył mi, że „Herkulesy” od pewnego czasu leżą na obie łopatki. I że najlepiej będzie, jak się podpuści X-a, żeby otworzył salę, to wtedy będę się mógł naocznie przekonać, jakie w Białymstoku pomieszczenia marnieją.

Albo X dał się podpuścić albo zrobił to z wyrachowania, w każdym razie zaprowadził nas do „Herkulesów”, wziął klucze i salę otworzył.

Marazm - powiedział. - Studenci nic nie robią, nic ich nie interesuje. Przestali przychodzić do klubu. Ale z drugiej strony proszę - tutaj X podszedł do pianina i zabębnił kilka taktów - czy na tym zapleśniałym wraku można pracować? Jak nasi „swingersi” mają cokolwiek zadziałać, kiedy dziury w perkusji zakleja się birstolem, bo nie ma forsy na skórę? Zresztą - dodał - co gadać o bębnach, kiedy sama chałupa się wali... Z sufitu tynk odpada, instalacja elektryczna funkcjonuje wadliwie, a stoliki... ooo, czy to są stoliki? Krzesła się łamią, ale kto kupi nowe?

Podszedłem do wieszaka z czasopismami. Są ostatnie, aktualne numery. Musiały zostać zawieszane poprzedniego dnia.

- Jak to? - zapytałem X-a. - Mówicie wszyscy, że klub nie ma forsy i że zamknięty. A ta prasa?

- Prasa przychodzi - odparł X - bo zaprenumerowano, a jak przychodzi to ktoś ją tam wieszka na kołkach.

- I tak wisi w zamkniętej sali?

- Wisi - potwierdził X.

Potem X otwierał jeszcze inne pomieszczenia, pokazywał magnetofony, adaptory, połupane mikrofony, strzępy dekoracji i malunki na ścianach świadczące, że działały tutaj zespoły artystyczne, a w tych małych pokoikach „klębiła” się tzw. myśl twórcza. Powtarzał przy tym swoje: „kiedyś gwarno - dziś marazm, marazm, nic się w środowisku nie dzieje, nuda.”

- Ale - zareplikowałem - przy Zrzeszeniu Studentów Polskich działa przecież teatrzyk „Kontrasty”. Widziałem go w ubiegłym roku w Warszawie na Międzynarodowym Festiwalu Teatrów Studenckich z „Listami spod gilotyny”. Teraz przygotowują podobno nowy program, także publicystyczny, o zbrodniach lekarzy hitlerowskich...

- Nie przygotowują, tylko mają przygotowywać - sprostował X.

- W ogóle, jeżeli się zabrają te swoim „Co nie co” do roboty, to najprędzej od nowego roku akademickiego.

- Ale coś robią - upierałem się.

- Pewnie, coś tam robią - przyznał dość niechętnie.

Wcześniej, podczas moich odwiedzin w Radzie Uczelnianej ZSP, padło podobne sformułowanie gdy mówiliśmy o „Herkulesach”: „coś tam robią.

Mamy swój niewielki zetespowski klub „Co nie co” - opowiadano - mieszczący się w podziemiach akademika. Odbywają się w nim także studenckie potańcówki. No, jest jeszcze na terenie Akademii klub „Herkulesy”, ale to nie nasz. To ZMS-u.

- Nie studencki?

- Studencki, ale ZMS-u a nie ZSP.

- Ale dla studentów?

- Dla studentów, ale i nie dla studentów. Prowadzony przez ZMS. Wpuszcza się tam także młodzież z „z miasta”.

- Prawdopodobnie „Herkulesy” są ostatnio w ogóle nieczynne - dodał ktoś. - Zdaje się, że nawet, zostały zamknięte. Po tym incydencie... Czasaaami, wie pan, urządzają jakiś wieczorek taneczny, ale na co dzień nikt nie przychodzi. Zresztą zarząd klubu śpi, ZMS się teraz klubem specjalnie nie zajmuje i tak to wszystko oklapło... Po co było wpuszczać chuliganów?

Potem rozmawiałem ze znajomym dziennikarzem.

- Wiesz - powiedział - istotnie, była kilka miesięcy temu jakaś taka historia w „Herkulesach”. Klub mieści się w podziemiach wielkiego, kilkupiętrowego gmachu. Ciemne klatki schodowe, ciemne korytarze. Zawsze jakaś parka się tam zaplącze, wtedy przyszli na potańcówkę jacyś faceci z dziewczyną, nie studenci, z miasta. Dziewczyna polazła z nimi na górę no i...tak. Oczywiście, ktoś podupada, ale chyba nie ten incydent fest główną przyczyną. Marazm, bracie, marazm. Kiedyś w „Herkulesach” ho, ho koncentrowało się życie artystyczne. Kabarety. Współpracowaliśmy. Pisaliśmy teksty. Coś się działo. „Arka Medyka” i inne zespoły. Stare czasy, w ogóle... było środowisko. A teraz co? Nuda. Dziewczyny, bracie, schodzą ze swoich pokojów do „Co nie co” w szlafrokach, bo nie chce im się przebrać. Jest studencka spółdzielnia pracy „Mikrus” - ale działa słabo. Widocznie studenci nie odczuwają braku pieniędzy”.

A tymczasem w ZSP:

- Mamy przepełnione akademiki. Mieszkania w mieście drogie, jak w takich warunkach można pracować? Co, my mamy nieść miastu oświaty kaganiec? Od tego są odpowiednie

instytucje, a my mamy kotokwia. A przecież wyjeżdżamy w teren z akcją „białych niedziel”, mamy swój teatrzyk „Kontrasty”, który występował „x” razy w „y” miejscowościach. A jak w ubiegłym roku zorganizowaliśmy imprezę „Dzień dobry ci wiosno” z udziałem naszych i warszawskich zespołów, miasto nie pokazało się na występach...

Przedstawiciel wydziału kultury:

- Coś podobnego! Dwa miesiące przed „Wiosną” studencką spotkaliśmy się ze studentami. Przyrzekliśmy, że załatwimy wiele spraw poruszanych na tym zebraniu. Trzeba tylko złożyć u nas odpowiednie pisemko. I co? W przeddzień „Wiosny” zjawili się studenci z pytaniem jak będzie z nagrodami dla zespołów występujących podczas imprezy...

Znowu ZSP, na inny temat:

- Widział pan „Listy spod gilotyny”? Na międzynarodowym festiwalu studentów wypadły bardzo dobrze. Otrzymaliśmy specjalne wyróżnienie. Tymczasem G., który został zaangażowany przez ZSP, żeby ostatecznie wygładzić reżysersko przedstawienie, w jakiś czas po premierze wydał nasz scenariusz „Listów” pod własnym nazwiskiem. W materiałach pomocniczych dla zespołów amatorskich. Mieliśmy wytoczyć mu proces, ale w końcu machnęliśmy ręką...

Znajomy dziennikarz:

- Bzduro. G. nie popełnił żadnego plagiatu. Przedstawienie zostało oparte na książce miejscowego literata, Omilianowicza. G. sam inscenizował, reżyserował, napisał słowo wiążące, a to co napisali członkowie zespołu, w większości nie nadawało się na scenę. Dziwne wreszcie, że do G. nie ma pretensji autor książki tylko studenci...

W ZW ZMS opowiadano mi o... „Żółtodziobach”. Jest to młodzieżowy zespół big-beatowy, który grywa w białostockim klubie związków zawodowych. W każdy czwartek klub jest oddany do dyspozycji ZMS i wówczas odbywają się tutaj wieczorki taneczne dla młodzieży (w inne dni wstęp do klubu mają tylko członkowie związków zawodowych). Zetemesowskie wieczorki są przeznaczone przede wszystkim dla tej „trudnej” i „niczyjej” młodzieży. Mijają spokojnie, bez ekscesów. W instytucjach odpowiedzialnych za kulturę mówi się o wieczorkach dużo i z uznaniem.

- A „Herkulesy”?

- No, „Herkulesy” trochę ostatnio kuleją. I trzeba przyznać, że instancja wojewódzka ZMS ma w ogóle sporo kłopotów z wyposażeniem klubów w niezbędny sprzęt. Dotacja ZG ZMS na ten cel jest minimalna...

Siedzimy więc w opustoszałym studenckim klubie ZMS „Herkulesy”. Z sufitu zwisają bibułkowe festony, które zostały po ostatniej karnawałowej zabawie. Pytam jeszcze X-a o głupią historię sprzed kilku miesięcy. X, jak większość innych rozmówców, uważa, że najchętniej przejść nad tym, co się stało, do porządku dziennego i że to jest przykra, ale przecież w końcu już dawno przebrzmiała sprawa. Nie ona była powodem upadku „Herkulesów”, była tylko jedną i nie najważniejszą z wielu przyczyn.

Nie mogę nie przyznać X-owi racji?

Zresztą kto nie ma racji?

X posiada rację pokazując przyjezdnemu dziennikarzowi zaniedbany klub, o którym przecież warto przypomnieć w prasie. Swoją rację ma kierownictwo uczelni, gdy w trosce o dobro klubu zleca, by wszystkie mające się odbywać w „Herkulesach” imprezy zgłaszano w rektoracie. Swoją rację ma pracownik ZMS, który opowiada o szeroko i grzecznie bawiącej się młodzieży (przy dźwiękach „Żółtodziobowych” gitar), a prawie nie wspomni o brzydkim klubie „Herkulesy”. Posiada również swoją rację znajomy dziennikarz, gdy twierdzi, że kiedyś, gdy byliśmy młodszy, wszystko było bardziej sensowne i piękniejsze. Swoje racje ma przedstawiciel wydziału kultury i ma swoje - ZSP.

Swoją rację ma wreszcie ten, komu przyjdzie na myśl, dlaczego wypadek, jaki swego czasu poruszył opinię białostocką, nie stał się dzwonkiem alarmowym dla kół najbliższych związanych ze środowiskiem studenckim? Myśli się przede wszystkim o przyklepaniu brzydkiej historii, która mogłaby zaważyć na dobrej opinii iluś tam instytucji. Nikt zaś nie poczuł się zmobilizowany do zapobieżenia pewnemu marazmowi i zlikwidowania rozdzźwięków w samym środowisku studenckim. Najlepiej i najłatwiej zapomnieć o „Herkulesach”.

I w końcu:

X ubolewa nad fatalnym stanem klubu, nad marazmem, nad brakiem pieniędzy. ZMS ubolewa nad brakiem dotacji z Zarządu Głównego, uczelnia wystawia pisemka zezwalające na odbywanie imprez (a więc zakłada ścisłą kuratelę nad i tak już zniechęconym do pracy zarządem klubu). Przedstawiciel zarządu klubu wyraża się z lekceważeniem o zetespowskim „Co nie co” i „Kontrastach”, a w radzie uczelnianej ZSP nie wiadomo nikomu, jak to ostatecznie jest z tym zetemesowskim, ale nie tylko, bo także i studenckim, ale i nie studenckim, bo także i „dla chuliganów” - klubem „Herkulesy”. Czy otwarty właściwie ten klub, czy zamknięty? A mój znajomy powiada:

- Marazm, bracie, marazm, dwa tysiące studentów na uczelniach, a nic się nie dzieje...

Ciekawe, co o tym myśli przeciętny student.

Pierwodruk: „Kamena”, 1966, nr 8, s. 1,4-5.